



BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



W WIELKANOCNE RANO.

Idź do braciej mojej, a powiedz im: Wstępuję do Ojca mojego,
i Ojca waszego: Boga mojego, i Boga waszego.

Ewangelia według Ś. Jana Rozdz. XX w 17.

Marya Julia Zaleska.

Bardzo pożyteczne, dobrej pracy dla ogółu oddane życie śmierć przerwała. Dnia 7 Kwietnia zmarła Marya Julia Zaleska cierpieniami długiej choroby zmęczona, a śmierć ta jest niemałą stratą dla pedagogicznej literatury naszej. Obok talentu i miłego wdzięku słowa pani ta posiadała wyższe i wielostronne wykształcenie, co sprawiło, że wszystkie jej utwory, pisane przeważnie dla młodego wieku, były rozumne i miały zawsze dla czytelników swoich tę pociągającą ponętność, która, czyniąc książkę zajmującą, zamiłowanie do czytania i dobry smak w młodzieży wyrabia. Po Hofmanowej nikt u nas lepiej nie wywiązywał się z tego zadania. Znajomość nauk przyrodniczych pozwalała jej obok tego być wybitną popularyzatorką w tym dziale nauki, i razem było to pióro tak użyteczne w literaturze dla młodego wieku, że śmierć jej wytwarza tam szczerbę nielatwo dającą się zapełnić.

Była obok tego najlepszą matką dwóch synów swoich, kobietą szlachetnie i czysto wiedzionego życia. Od lat kilku współredaktorka *Wieczorów Rodzinnych*, prowadziła tam stale rubrykę przyrodniczą, która w oddruchu wytworzyła wyborne, w trzech edycjach wyszłe już dziełko, rodzaj encyklopedyi dla nauk przyrodzonych: *Wieczory Czwartkowe*. Druga, czysto już oryginalna jej książka: *W Tatrach* pozostanie na bardzo długo jedną z najlepszych rzeczy do czytania dla młodzieży. Opisowość pełna poezyi i poczucia piękna zaleca wyjątkowo to dziełko. Przekłady jej z angielskiego: z Meine-Reida, z Coopera, łącząc zalety jej pióra z talentem oryginałów, dawały też młodzieży bardzo dobre, wyborne czytanie tej nigdy przestarzać się niemogącej szkoły, którą stworzył autor nieśmiertelnego w swoim rodzaju Robinsona Kruzoe. Zwłaszcza przez cztery lata ostatnie, w których wydawnictwo *Wieczorów Rodzinnych* dawało jej sposobność ciągłego pisania i drukowania prac swoich, można powiedzieć, że zajmowała młódz czytającą w sposób wyborny.

Czytanie ma w wychowaniu ważność tak wielką, że gdy jest złem, może podkopać najlepsze złączy wpływy edukacyjne, jak z drugiej strony zdolnym jest wywołać do życia wszystkie te cnoty szlachetne, które ubogacić powinny życie; rozniecić iskry zapału dla dobra i piękna, otworzyć myśli te horyzonty życia szersze, których potrzeba, aby umysł nie był ciasnym i pospolitym—aby nauczył się tworzyć sobie ideały wyższe nad użycie i samolubne zadawanie potrzeb codziennych.

Literatura nasza dla młodych dziewcząt od bardzo dawna nie miała tak dobrej książki, jak wyszła w roku zeszłym w wydaniu Gebethnera i Wolffa: „Dwie Siostry“. Wobec trudnych dziś warunków życia i zwiększającej się potrzeby pracy kobiecej, jest to jakoby przewodnik dla szukających sobie tej pracy kobiet, czy tak dostatecznych, abymogła być ona w części swej jakiejś ofiarnością i dla dobra ogółu łożoną, czy tych, które muszą sobie drogę przez życie samodzielnie torować i szukać pracy dla chleba. Poświęcona jest przeważnie pannom, lecz powiedzieć można, że jest to ogólnie: kobietom młodym i starszym, dobre wskazówki dający poradnik pracy, odpowiadający najzupełniej moim własnym w tym kierunku spostrzeżeniom i przekonaniom, znanym czytelnikom „Bluszczu“ od lat bardzo wielu. Na starym gruncie — na starym warsztacie domowej pracy, rozszerzonej tylko wobec nowego położenia rzeczy i ekonomicznego stanu kraju,—kobieta na wsi wychowana najkorzystniej może pracowite usiłowania swe zużytkować i zapewnić sobie istnienie, najpewniej przed omyłkami niedoświadczenia zawarowane — podniesione nad miliony trosk i dolegliwości, z którymi w mieście spotkać się mogła — musiała!... Rozbiór tej książki szczegółowo

w Grudniu 1887 r. podany, usuwa już dla czytelników naszych potrzebę skreślenia go tutaj. Jest tam szczególnie bardzo rozumny i miły, piękny obraz starej panny, która, nie chcąc właśnie z koła rodziny, z miejsc jej miłych — z drogich jej kątów starych się ruszyć, zawodnego koła Fortuny kędyś między obcymi cię chwytać, na wsi pracowitego zajęcia sobie szuka, z pewnych galezi wiejskiego gospodarstwa kobiety pracę zawodową, chlebobajną sobie czyni. Niewydziedziczająca się też z niczego, nowe hasła wobec nowego stanu rzeczy pojmująca, staje się wzorem dla młodszych, które, podobnie jak ona, chcą tak pracować, aby w razie samotnej drogi przez życie nie była to droga nędzy i poniżenia.

Organa prasy wszystkich kierunków przyznały wyborności tej pracy i zasługę jej autorki, której śmierci żałować trzeba, jako ubytku siły dobrej, w dążeniach szlachetnej, mającej przed sobą zawsze myśl uczciwą, wyższem wykształceniem naukowem rozświeconą. Godło, z wiersza Zmichowskiej wzięte i na okładce *Dwóch Sióstr* położone, może być uważane za godło życia tej dobrej robotnicy na polu rodzinnej i publicznej pracy:

Ja wiem, że tutaj z litości Pana
Na każdą troskę pociecha dana:
Spokojna godność, wytrwałość z pracą
Ubóstwo znoszą, lub też bogactwem...

Urodzona w 1831 roku we wsi Medwedówce, w okolicach kijowskich, była córką uczciwego domu, a ojciec jej Perłowski, pedagog z powołania, niegdyś nauczyciel w liceum krzemienieckim, dał córce ten kierunek umysłu poważny i pogląd na życie, który następnie uczynił ją osobistością wyższą i pozwolił jej zarobić sobie przez pracę uczciwą i pożyteczną na to stanowisko, które postawi ją w literaturze naszej obok kobiet dobrze przez pióro swoje zasłużonych.

Pierwszą jej książką, wydaną w 1868 r. był „Przewodnik wychowania“ bardzo dobrze przez ówczesną krytykę przyjęty. Następnie wyszły: „Wędrowka po ziemi i niebie“ (1873) „Listki i ziarka“ (1874) „Nauka o rzeczach“ (1874) „Obraz świata roślinnego“ (1875) „Pogadanki naukowe“ (1876) „Świat zwierzęcy“ (1877) i kilka jeszcze prac z zakresu literatury dla młodzieży, opracowywanych wspólnie z p. A. Borkowską, redaktorką „Kroniki rodzinnej“ w której pomieszczała stale wiadomości z dziedziny nauk przyrodniczych. W *Kłosach* prowadziła też stale „Kronikę Przyrodniczą“.

Za trumną jej szły dzieci z ochron Warszawskich, oraz uczennice pensyi p. Jadwigi Sikorskiej. Na trumnie złożono wieniec od *Wieczorów Rodzinnych*, *Kroniki*, *Kłosów* i *Przeglądu Pedagogicznego*. Niech pamięć jej pozostanie między nami jako pracownicy użytecznej i dobrze zasłużonej w bardzo ważnej gałęzi pracy publicznej!

M. Imnicka.

RAPTULARZ JANA CZECZOTA.

SZKIC LITERACKI

Józefa H. Rychtera.

(Dokończenie).

Dalej następują w raptularzu ballady: *Górka dzwoniąca w Puzieniewiczach*, *Radziwiłł czyli*

Założenie Wilna— i Myszanka. Treść tych ballad przeważnie legendowa.

* * *

Oprócz powyższych utworów poetycznych Czeczota znajduje się w raptularzu jeszcze wiele innych, których ze względu na ich obszerność lub nawet samą treść, przytoczyć nie możemy. Wyróżnić jednak należy z utworów oryginalnych poemat: *Nova Zofijówka*, napisany podług Trębeckiego, balladę: *Uznachy*, napisaną jędrnie i odznaczającą się szlachetną tendencją usamowolnienia ludu; dalej balladę *Świtez*, która z wielu względów jest nader ciekawą, i dla tego przy niej nieco się zatrzymamy.

Pierwszą balladę pod tym samym tytułem, jak nam wiadomo, napisał był Zan, następnie Mickiewicz, a niebawem po nim Czeczot. *Świtez* Zana zaginęła. Zналиśmy dotychczas tylko *Świtez* Mickiewicza, a o Czeczota nie wiedzieliśmy wcale: czy kiedykolwiek istniała. Obie ballady dwóch przyjaciół Mickiewicza mogły nam być wykazać różnice zachodzące pomiędzy wszystkimi trzema utworami, a temsamem przyczynić się do wyjaśnienia: czy i oile z tematu Zana zaczerpnął Mickiewicz? Ballada Czeczota rozstrzyga poniekąd tę kwestyę, albowiem wyraźnie pisze Czeczot na jej wstępie, że Mickiewicz „mówił, co mu się śniło“, a więc stworzył swoją *Świtez* odrębnie i oryginalnie. Powiada dalej Czeczot, że właściwej opowieści *Świtez* od starych dowiedział się Tomasz (Zan) i on, Czeczot, za nim w swojej balladzie opowieść tę powtórzy. Zbliżoną więc tematem musi być ballada Czeczota do ballady Zana. Oto jej treść w krótkości:

Ongi w mieście Świtezii mieszkał bogaty kupiec, który miał bardzo piękną córkę. W córce tego kupca kochał się ubogi młodzieniec. Lecz, jak to zwykle bywa, ubogiemu nie starać się o bogatą, zwłaszcza, gdy ojciec wypatruje „grafa“ dla córki. Co robić? jedyna rada „mieć pieniądze!“ A wyraźnie powiedział mu stary kupiec, że tylko wtedy wyda za niego córkę. Martwi się tedy młodzieniec i przemyśliwa nad tem: zkadby wziąć pieniądze? Tak przemyślując, wpada „na piekielny pomysł“ zaprzędania duszy dyabłu. Idzie nocą „na rozstajnie drogi“ i wywołuje „kusego.“ Po chwili zjawia się Jego Dyabelska Mość i ofiaruje swoje usługi. Młodzieniec podpisuje krwią własną cyrograf i żąda pieniędzy. Dyabeł mu pieniędzy nie daje, albowiem „są ciężkie czasy“; lecz natomiast występuje z radą, aby zabił pewnego kupca, który nazajutrz będzie wracał drogą ku Świtezii i będzie miał dużo pieniędzy. Ponieważ dyabeł przyrzekł swoją pomoc, więc się młodzian na to zgodził, oznaczyli sobie czas spotkania i nazajutrz rzeczywiście młodzieniec zabił bogatego kupca, jadącego drogą do Świtezii. W czterdzieści lat po tym wypadku miał wziąć dyabeł duszę owego młodzieńca, któremu zabity kupiec przed śmiercią groził, że się pomści za grobem. Atoli młodzieniec nie zważał na groźby, dokonał swego, zabrał pieniądze, i uszczęśliwiony wrócił do domu ojca swej ukochanej, który, widząc, że konkurent jest obecnie bogatym, oddał mu rękę swej córki. Zbrodniarz żył długo szczęśliwie i dopiero gdy się zbliżał kres czterdziestolecia, „miał niespokojne sny.“ Nareszcie nadeszła i ostatnia chwila, a było to przy uczcie. Spotrzejgli goście na jednej z mis, zamiast jadła — świętą ludzką głowę, broczącą we krwi. Przerazenie ogarnęło wszystkich, „pouciekali, jeno morderca został nie mogąc się ruszyć z miejsca“, gdyż go ta głowa magnetycznie przyciągała. Była to zemsta zabitego kupca. W jednej chwili zbiegli się dyabły, porwali mordercę, a dom jego i całe miasto Świtez zapadło się w ziemię. Dziś na miejscu miasta stoi jezioro.

Balladę kończy następujący sens moralny:

Przechodniu, który widzisz te wody,
I ten, co o nich zasłyszysz,
Weź wiecznie z żądzą każdą rozwody,
Której zbrodnia towarzyszy.
Lepiej umierać z nędzy, pogardy
I szczęścia nieznac słodkości,

Lepiej mieć umysł w nieszczęściu hardy—
Niż się dopuścić podłości.

Z tłumaczeń Czeczota wyszczególnić należy:
Pieśni o dzwonie, Rezygnacya, Żurawie Ibika
Schillera, tudzież przekład z Byrona.

* * *

Jak widzimy, pracował Czeczot pilnie na niwie poetyckiej, jako młodzieniec, w kierunku twórczym. Później, złamany na duchu i siłach, zajął się przeważnie porządkowaniem zebranych przez siebie w ciągu wielu lat „Piosnek wieśniaczych”, które jak powiedzieliśmy, wydawał od roku 1837, do r. 1846, w osobnych tomikach.

Mimo to nie cieszyło Czeczota już nic. Otrzymałszy posadę bibliotekarza u hr. Chreptowicza w Szczorsach, wziął się gorąco do pracy w uporządkowaniu księgozbioru, przeplatając to swoje zajęcie wydawnictwem wspomnianych *Pieśni wieśniaczych*. Nie długo wszakże to trwało, bo, podpadłszy na zdrowiu w tem osamotnieniu, jakiego doznał, nie mogąc dalej podjąć obowiązków, był zmuszony opuścić Szczorsy i przyjąć zaproponowaną sobie siedzibę w Dolmatowszczyźnie, ujęty serdeczną uprzejmością pani domu, a siostry kolegi uniwersyteckiego Rafała Słizienia, tego samego, który potem zasłynął jako utalentowany rzeźbiarz.

Rzewny i zarazem smutny fragment z ostatnich dni życia poety, przytacza p. Pawłowicz w swoich *Wspomnieniach*.—„Były imieniny Zana. Zebrało się wiele gości. Gdy nadeszła chwila toastów, wznosząc zdrowie solenizanta, przypomniano znać a tak miłą nazawsze piosnkę:

Gdy pocziwość świata znana
Któż pocziwszy jest nad Zana?
Więc, panowie, jego zdrowie:
Vivat Tomasz Zan!

„Łatwo sobie wyobrazić zapał, — pisze p. Pawłowicz—z jakim tę strofę wygłoszono, z jakim ją przyjęto, i tę, wymowniejszą wezbraniem uczuciem odpowiedź, jaką solenizant podziękował. — Naturalnie, że gdy wnet nalano kielichy — drugą zwrotkę wygłoszono na cześć Czeczota:

Gdy uwielbien godna cnota,
Któż pocziwszy nad Czeczota?
Więc, panowie, jego zdrowie:
Vivat Czeczot Jan!

„Błady i mocno już schorzały Czeczot dziękował uprzejmie, ale znać było ze wszystkiego, że go już holdy tego świata a szczególnie głośnie, hałaśliwe, niewiele obchodzi — i nużą wzrok jego wpatrzony już „w tę ochronę spokojną, gdzie wieczność przebywa“.

„To też niedługo, bo w lat parę potem, Czeczot, wyczerpawszy wszelkie środki, jakie pomoc lekarska i troskliwość gospodarzy dać mogły, na wiosnę 1847 roku udał się do wód druskienskich, gdzie po dniach niewiele Bogu ducha oddał. Pochowany w Rotnicy, na cmentarzu obok kościoła parafialnego.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

W parę dni później marszałek po tygodniowym pobycie we Lwowie powrócił. Twarz mu jaśniała, z oczów wyglądała duma i pewność siebie, jak za najlepszych czasów.

Po przywitaniu wprowadził kobiety do kancelaryi, drzwi zamknął i, stanąwszy w pozie skromnej, jak przystało na znakomitego, a nie chępliwego męża, przemówił:

— Kto krajowi służy, kraj o nim nie zapomina. Wielka instytucja skutkiem zlej gospodarki została zachwiana. Szukano człowieka tej miary, żeby ją mógł uratować i dźwignąć... Opinia mnie wskazała, dziennikarstwo, jako głos opinii, za mną przemówiło... I pomimo niechęci Stańczyków, a wrzasku Radykałów, mnie zwierzchnictwo powierzono—westchnął.

— Wszystko się oddało krajowi, nawet własną siedzibę; kraj i ludzie ocenili ofiarę...—Zbliżył się do żony pocałował ją w rękę—córkę w czoło.—Z początku pensya niezbyt wielka, jednak przy oszczędności i procencie od kapitaliku, jaki nam zostanie, wystarczy. Odetchnął, patrząc na kobiety, jakie na nich wiadomość ta zrobi wrażenie.

— Chwała Bogu — szepnęła marszałkowa i ze wzruszenia osunęła się na fotel.

— Będziemy mieszkali we Lwowie? — spytała żywo Julia.

— We Lwowie, moje dziecko, w stolicy. Wolałam, abym obejmował urządowanie zaraz, od pierwszego Lipca. Wyprosiłem sobie dwa tygodnie czasu, na przeprowadzenie się. Wynajęłam wam mieszkanie, ładny domek z ogródkiem, niedaleko uniwersytetu, widok na okoliczne góry. Cztery pokoje, kuchenka i przedpokój. W saloniku z łatwością pomieści się fortepian. W przyległym pokoju umieścimy twoją bibliotekę i biurko do pracy. Musi nam być dobrze, wygodnie, cicho... Nie będziesz potrzebowała uganiania się po gospodarstwie, opalać, gniewać na ludzi, rozpaczać, gdy deszcz pada, lub nie pada. Nie opalisz się i nie zdziwejesz. A gdy Bóg da, znajdzie się ten, o którym powiesz, że jest godnym ciebie...—Ujął ją za rękę i wpatrywał się z wyrazem pełnym miłości. Dziewczyna, popchnięta uczuciem, nie mogąc znieść wzroku ojca, przytuliła się do jego piersi. Objął jej głowę rękami i pocałował.

— Moja jedynaczko, jeszcze nie wszystko stracone — szepnął rozrzuwiony. Łzy mu w oczach zaświeciły; aby je ukryć, odwrócił się i poszedł ku oknu.

Nazajutrz u notaryusza w miasteczku został spisany kontrakt sprzedaży i kupna Rębowa wobec panów Stanisława i Jana, jako stron, Kanarka i Tadeusza, jako świadków.

Po odczytaniu aktu notaryalnego wystąpił Tadeusz.

— Obecny właściciel Rębowa — mówił spokojnie — dowiedziawszy się, że panna Julia dla zrobienia wkładów na wiosnę pozostawiała i sprzedała w Krakowie swoje biżuterie, uprosił mnie, aby je wykupić i zwrócić jej przez pośrednictwo ojca. Sądzę, że chwila obecna jest do tego najstosowniejszą. — Pudelka zawinięte w papier oddał marszałkowi, kwity—panu Janowi.

Nastąpiła uroczysta chwila. Marszałek rozwinął papier, pudelka rozsypały się po stole.

— Jasnie pan pięknie się znalazł — pierwszy odezwał się do pana Jana Kanarek—Jabym także to samo potrafił, żeby taki „fem“ zrobił interes, jak jasnie pan...

— Nie wiedziałem o heroizmie dziewczyny — przerwał pan Stanisław, wyciągając rękę do pana Jana—dziękuję... Krew, krew—półgłosem powtarzał do siebie. — Stara, czysta krew Rębowskich, cuda może i cuda robi...

Pan Jan przyjął podziękowanie, łaskawym uśmiechem, chociaż nozdrza rozszerzył i marszałek nastawił. Przenosił wzrok z Tadeusza na Kanarkę, podejrzewając ich o zmowę.

— No, i jasnie marszałek ma przyjaciela — zaczął znowu Kanarek. — Taki przyjaciel to złoto, to dyament — zawołał, zapalając się.

Marszałek zbliżył się do Tadeusza, objął go w pół i przycisnął.

— Będzie mi brak ciebie. Lecz któż wie, czy się wkrótce nie znajdziemy, przy wspólnej pracy? — dodał ciszej.

— „Rębowski dostał posadę we Lwowie, ustępując ze wszystkich godności powiatowych, zrezygnował z marszałkowstwa...” Wieści te przebiegały cały powiat. Rozprawiała o nich szlachta, urzędnicy w miastach, mieszczanie i żydzi. Ogólna uwaga i ciekawość streszczały się w zapytaniu: kto obejmie po Rębowskim marszałkowstwo?...

Zrozpaczony Gryzio, sprzedając Rębowa, a więcej jeszcze tem, że został dzierżawcą pana Jana, agitował po powiecie, aby nie dawano Stańczykowi marszałkowstwa. Jeździł od dworu do dworu, zaklinał, prosił, perswadował.

— Jeżeli dziś nami pomiata, cóż będzie wtedy, gdy, na naszych barkach wzniesiony, zajmie najwyższą godność w powiecie?... Będzie wtedy grubo się z nas śmiał.

— Daj kandydata — odpowiadała szlachta — kandydata, któryby przyjął marszałkowstwo, miał czas i środki.

— Pułkownik—odpowiadał Gryzio—Nikt tylko pułkownik. Razem z Tadeuszem dadzą sobie radę.

Skutkiem zabiegów i agitacji Gryzia wybrano deputacją i powierzono jej wręczyć łaskę marszałkowską pułkownikowi.

Gadziński wybornie rozumiał, że niczem innym nie był, jak tylko sztandarem, rozwijającym się w dnie uroczyste, powiewającym na paradach. Na żmudną i ciągłą pracę nie pozwalały mu: wiek, przeszłość, usposobienie, a nawet nieznaną sobie praw i dzisiejszych stosunków. Wiedział przeto dobrze, że jego popularność w codziennych sprawach może się zetrzeć, a sztandar, gdy będzie często rozwijany, spłowieje. Deputacją przyjął serdecznie, podziękował górnolotnymi frazesami za zaufanie, lecz o marszałkowstwie nie chciał słyszeć.

Napróżno go Gryzio prosił i zaklinał. Po obiedzie, przy starym węgryniu, wycalał szlachtę, spłakał się, lecz prośbom odmówił.

Tymczasem partya Stańczyków pracowała energicznie wśród radeów wydziału powiatowego. Konserwatywny nasz lud i jego wybrańcy stanęli po stronie pana Jana. Imponowały im majątek, dobre gospodarstwo, energia i pracowitość kandydata.

— Kiej on ci się tak dobrze rządzi w domu, to i w powiecie potrafi — rozumowali. Argument ten zamykał przeciwnikom usta.

Kontrkandydata poważnego przeciw panu Janowi niepodobna było znaleźć przy ogólnym braku ludzi wywołanym przez panowanie powagi absorbującej wszystko. Gryzio rozpaczał, pan Stanisław smutnie wstrząsał głową. O Radwanie nie mogło być mowy. Nawet Raciborski, któremu Radwan imponował wymową, konną jazdą, celnością strzałów na polowaniu i szykiem warszawskim, nie śmiał się za nim odezwać. Szlachta okazywała wstręt ku liberalizmowi i liberałom. Mając do wyboru liberała lub stańczyka popartego majątkiem i uznaniem panów i rządu, przechylała się stanowczo na stronę ostatniego.

— Niema ratunku — powtarzał Gryzio, trąc rozpaczliwie czuprynę—Stańczyk będzie podwójnym moim panem: w radzie i w dzierżawie.

Nie było ratunku. Oprócz pięciu wiernych zwolenników i towarzyszy Radwana i oprócz Gryzia i Raciborskiego, którzy przy wyborach świecili nieobecnością, wszystkie głosy padły na pana Jana, bez żadnej opozycji, spokojnie, apatycznie. Gdyby tysamym ludziom rok temu powiedziano że wybiorą Stańczyka, rąbaliby się z oszczercą.

Na posiedzeniu wydziału Rębowski przedstawił zgromadzonemu następcę swego, zęgnął się z kolegami, do urzędników przemówił serdecznie:

— Byliście moimi przyjaciółmi i wiernymi towarzyszami w pracy nad dobrem powiatu. Zachowam was całe życie w pamięci—Uściskał ręce Tadeuszowi.

— A ja—odezwał się pan Jan—wymagam przede wszystkim posłuszeństwa, poszanowania władzy i ścisłego wypełniania obowiązków. Nie sejmikować i politykować, lecz służyć... Ręka w rękę iść z rządem, wiernie stać przy Najjaśniejszym Panu, to mój cel. Subordynacja jest duszą porządku, a porządek opiera się na punktualności.—Kiwnął dumnie, lekceważąco głową i zwrócił się do członków wydziału.

Tadeusz patrzył na Radwana i uśmiechał się ironicznie.

— Twoje to dzieło — odezwał się, gdy zostali sami.

— Jeżeli moje, to jestem z niego dumny — odparł Radwan spokojnie.

— Wieszuję ci.

— Dziękuję. Dotąd rządziło niedołęztwo ubrane w płachty powagi, patriotyztu i nietykalności.

— Gdy dziś?

— Gdy dziś — powtórzył — stosunki się wyklarowały. Stańczyki się nie maskują. Poparci przez rząd, panujące stronnictwo, hierarchią społeczną, tradycją i konwenans, rzucają nam dumnie rękawice, usiłując nas zgnębić brutalnością i siłą. Tym sposobem dwa stronnictwa staną otwarcie przeciw sobie, wyrodzi się walka, a z niej wytworzy się postęp. Dawniej, mój drogi, walka z niedołęztwem, tak wspamiętałe udrapaniem, była prawie niepodobniostwem. Spaliśmy wszyscy. Niema niezdrowszej okolicy, nad stojące wody, wśród pogodnego dnia, upału i promieni słońca.

— Będziecie walczyć?

— Z całą bezwzględnością i nie mniejszą brutalnością. Każdy zadany raz postaramy się oddać z równą siłą. Bismarck zorganizował socjalistów, nas — Stańczyki. Przekonasz się zaraz na pierwszej sessji, jakie nam rogi urosną.

— Lecz czy walka jest ostatecznym celem? Czy nie szkoda sił i czasu?

— Nie, gdyż walka organizuje siły, zdobywa wiedzę swej działalności, odnajduje cel. Nareszcie wszystko jest lepsze od stojącej wody, zmieniającej żywny grunt w bagno.

— Mnie jednak żal uczciwej rodziny, wydziedziczonej z własnego gniazda.

— Nic nie szkodzi — odparł wesoło Karol — mieszczaństwo na tem skorzysta i wzmocni się. Ono także potrzebuje sił i lepszej krwi do odrodzenia się.

— Każde twoje odezwanie się boli i działa na mnie przynajmniej. Oprócz suchej logiki niema w niem iskry uczucia, ciepła. Nie jestem przyzwyczajony do traktowania spraw ludzkich w ten sposób. — Na twarzy Tadeusza widać było zmęczenie.

— Ha, mój drogi — odparł Karol — musi być różnica między mną a tobą. Wyście grzeszyli idealizmem, my racjonalizmem. Na to, nad czem wy unosicie się, my uśmiechamy się z politowaniem. Niedołęztwo, choćby w najszlachetniejszej formie, zawsze dla nas jest niedołęztwem.

— A jeżeli niedołęztwa nie było? — pochwylił Tadeusz.

— Rezultaty mówią o niem, i te mi wystarczają...

Doniedawna przyjaciele rozchodzili się coraz dalej. Drogi ich w pierwszych chwilach poznania się zbliżone, z dniem każdym, po każdym spełnionym fakcie, coraz bardziej oddalały się.

Ostatnie chwile pobytu Rębowskich w rodzinnym majątku przeszły dla Tadeusza, jak uroczy sen.

Gryzio i Raciborski w dzień odjazdu wyprawili marszałkowi i jego kobietom ludową owacją. Nie potrzebowali ludu namawiać. Uwiadomiony o dniu odjazdu tłumnie wyległ na stacyą kolei. Marszałka szanowali, jako uczciwego i prawego pana, lecz dobre panie, nietylko ludzie z Rębowa, lecz i okolicznych wsi, prawie bez wyjątku kochali.

Marszałkowa, widząc cizbę garnącą się do niej, nie mogła zapanować nad sobą: zwyciężyły ją łzy, wydobywające się dwoma strumieniami z oczu. Na widok łez wiejskie kobiety zaczęły głośno zawodzić. Powstał ogólny lament. Gryzio łzy chustką ocierał, Tadeusz drżące ze wzruszenia wargi przyciskał zębami. Pan Stanisław, wzruszony, ścisnął gospodarzy ze ręką. Julia, zamysłona, poważna, miała oczy suche, lecz wypieczone na twarzy rumieńce.

W tej chwili drogą prowadzącą do stacyi jechał do Rębowa pan Jan, koźmi Adama i amerykań-

ką. Powoził się sam. Za nim rządcą wioził ze sobą ekonoma.

— Na ostatku — mówił półgłosem pan Jan — kazał sobie urządzić chłopską owacją. Baby rozczulone wódką płaczą, a on, ręczę za to, dziś jeszcze palnie sobie reklamę w tromtadratycznych piśmi-dłach lwowskich!.. I pocię to z chłopstwem bawić się w czulości? Być sprawiedliwym, dać co się należy, i czuj duch... — Zaciął konie, aby nie słyszeć zawodzeń kobiet, które go gniewały.

Pociąg ruszył, Gryzio otarł świecące łzami oczy, rozpaczliwie machnął ręką i, zwracając się do towarzyszcy, zawołał:

— Skończyło się: zostaliśmy sierotami i niech milion dyabłów cały świat porwie! Rębów umarł dla życia obywatelskiego, dla nas, powiatu i ludu. Pustki tej nikt nie wypełni.

— Pan Stanisław we Lwowie wypełni — zawołał Raciborski.

— Utoną we troje w mieszczaństwie i nie po nich nie zostanie — odparł gwałtownie i z przynębiającym pesymizmem Gryzio. — Lecz cóż może rozpaczać? Chodźmy się napić wódki. My, jak my, damy sobie ze Stańczykiem radę, choćby nam przyszło przejść do obozu Radwana; lecz ty, kochany panie Tadeuszu?

— Będę się bronił.

— Czy ci się uda?

— Nie jestem sekretarzem marszałka, lecz rady powiatowej.

— Ale marszałek jest zwierzchnikiem — zrobił uwagę Raciborski.

— Rada — zaczął Tadeusz.

— Rada! — powtórzył szydersko Gryzio. — Nie znasz ludzi, czy co?... Nie znasz naszej szlachty? Nowe sitko na kolek, nowy pan, służba się organizuje... Piółonówki, dziś tylko piółon smakuje. Do was, panowie. — Wychylił kielich, chuchnął, Raciborski przepił do Tadeusza. Sekretarz wrócił do kancelaryi, przyjaciele siedli na bryczkę. Od chwili wyjazdu Rębowskiego, przyjaźń tych ludzi z każdą chwilą utrzymywała się. Nie mogli się obejść bez siebie.

W południe wszedł do kancelaryi nowy marszałek, chmurny i zły. Widać to było z nasuniętych jego brwi i rozwartych nozdrzy. Pożegnania ludu z rodziną Rębowskich i niepowodzenia w rolnictwie zirrytowały go. Był nieprzyjacielem, jak mówił, wszelakich manifestacyi z wyjątkiem tych, które propaguje i rozwija rząd. Tadeusz podał mu do podpisu papiery. Czytał je głośno, krytykował nieurzędowy styl, przekreślał ustępy, dlatego, że niezbyt dokładnie omawiały przedmiot, polecając nanowo zrezagować.

Tadeusz zwrócił jego uwagę na brak czasu, wobec innych czynności.

— Odrabiać dobrze referata jest najważniejszą czynnością — odpowiedział szorstko i stanowczo.

Inżynier powiatowy zbliżył się, raportując o zamiarze wyjazdu swego na dwa tygodnie w celu kierowania robotami drogowymi.

— Niepotrzeba — zaprotestował marszałek — kierować można równie dobrze z kancelaryi.

Inżynier skłonił się i odszedł do swego biurka.

— A to co? — spytał wskazując na drukowany papier, leżący na stole.

— „Kuryer lwowski” — odparł tonem objaśnienia Tadeusz.

— Proszę, aby mi w urzędowej kancelaryi nie było więcej tych nędznych piśmi-dł.

— Pozwólone przez rząd.

— Tolerowane — przerwał gwałtownie. — Kancelaryja rady powiatowej nie jest kawiarnią utrzymującą rozliczne piśmi-dła. W kancelaryi rady powiatowej mogą się tylko znajdować: rządowa gazeta. — Wstał, spojrzął dokoła dumnie, wdział rękawiczki i wyszedł.

— Tzeba wam munsztuka — szepnął — będziecie go mieli. Nauczę ja was! Inżynier chciał uciec na dwa tygodnie, jeździć od szlachcica do szlachcica, grać w preferans i bawić się. Dosyć tej włóczęgi. — Siadł do amerykanki chwycił za lejce i batem śmignął.

Gdy turkot bryczki przycichł, wstali od swych biur sekretarz, inżynier, lustrator gminny i kancelista.

— A co? — spytali się prawie jednocześnie.

— Zawracamy w czasy naszego kochanego, starego wytrawnego biurokratyztu — zaczął powoli lustrator. — Wy, młodzi, nie znacie go tyle, ile ja. Przeszedł on w krew naszej szlachty, a u Stańczyków stał się synonimem porządku, karności, dobrych rządów i konserwatyztu.

— Co się stanie — przerwał stary inżynier — z naszymi drogami? Wójtowie delegaci czekają... Gdyby nie to, żem sobie chałupę w miasteczku postawił, uciekłym ząd dziś.

— Dobrze mówić „uciec“, ale gdzie? Uciekaj tu, kiedy za poły surduta trzyma czleka pięcioro dzieci. — Powiedziawszy to, kancelista machnął rozpaczliwie ręką.

— Już to najłatwiej przyjdzie drapnąć panu Tadeuszowi. Kawaler sam jeden, długów żadnych, specjalista...

Zaturkotało po bruku, urzędnicy nastawili uszy.

— Wraca — szepnął kancelista. — Znam ja turkot jego bryczki... — i co prędeż wrócił do biurka. Inżynier i lustrator poszli za jego przykładem. Na środku pokoju został Tadeusz.

Turkot się zwiększał, raptem gwałtownie wpadł przez otwarte okna i ucichł.

— Zapomniałem oświadczyć panom — zawołał z kozła bryczki marszałek — że godziny biurowe trwają od dziewiątej do wpół do trzeciej... Wjechał na rynek, zawrócił i zniknął w tumanach kurzu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 31 Marca 1889 r.

Marzec, zamęt w powietrzu i w głowach. — Co o tych głowach mówił niegdys Tasso? — Ministerem i Izby. — Dwa wystąpienia polityczne. — Zdjęcie wyroku banicy z ks. d'Aumale — Rozwiązanie Ligi Patriotyckiej. — Dymisya prokuratora generalnego. — Sprawa Bulanżerowska. — Ostatnie dni karnawału i Środopocie. — Krachy finansowe i wesołość. — Bal maskowy dla dzieci. — Gospodarz, p. Cernuschi. — Nowa komedya P. Sardou'a: *Swiekra*, w teatrze du Gymnase. a w Palais Royal *Moi przodkowie*, komedya PP. Chéville'a i Depré'go. — Biarritz i spotkanie się Królowej Angielskiej z Regentką Hiszpańską. — Co o tem mówią zeicha. — Śmierć sławnego polityka angielskiego Jana Brighta. — Słówko o przyszłej wystawie paryżkiej.

(Dokończenie.)

Jedna z rzadkich a zachwycających przyjemności — przyjemności, jakich nigdzie chyba nie znajduje, jeno w Paryżu, w tem wielkiem emporium wszystkiego, co bawi i ludzi oko, dla tej głównej przyczyny, że nigdzie nie może być tyle zasobów do stworzenia artystycznej, tak swtetnej, tak czarującej całości w tym względzie, jak w Paryżu — chcę tu powiedzieć słówko tylko o znakomitym balu dziecinym, który się odbył w pysznym Hotelu przy ulicy Velazqueza, to jest w Parku Monceaux, którego szczęśliwy gospodarz — dziwne losów zrządzenie! — jest emigrantem, ale emigrantem włoskim. W r. 1848 młody, poczynaający adwokat w Medyolanie, zagorzały stronnik Mazziniego, nie mający nic, coby majątkiem swym mógł nazwać, gotów zatem na wszystko, posel do konstytuanty rzymskiej, współnik Garibaldiego i owego-to Mazziniego, wzięty do niewoli przez Francuzów, po zajęciu Rzymu odesłany jako więzień do Francji — wychodzi z tych przygód, nietylko bez szwanuku, ale z honorami; wstępuje do banku braci Perreirów, dorabia się wielkiej fortuny — *ex nihilo!* Daje stotysięcy franków w 1870 r., aby walczyć przeciw plebiscytowi cesarza Napoleona. Wgnany za to z Francji, po upadku cesarstwa, wraca do Paryża, buduje wspamiętały hotel — przepelniony arcydziełami sztuki. Słowem: jak w opowiadaniach *Tysiaca i jednej nocy*, żyje i używa bogactwa, które mu rzeczywiscie spadło, jak z nieba.

Ten człowiek zowie się p. Cernuschi, niby z polskiem brzmieniem, ale Włoch prawdziwym najczyst-

szej wody. On-to wydał ów bal dla dzieci, wybranych, znajomych i nieznanomych, którego główną inicjatorką i reżyserką roku przeszłego była wnuczka Wiktora Hugo, panna Janina Hugo, a tego roku także panna Janina, ale już inna: córka znakomitego wydawcy, Charpentier'a.

Nie mam miejsca na opisywanie tego prawdziwie czarodziejskiego balu kostiumowego dla dzieciaków—od 10 do 3 lat! Niech sobie czytelnicy przedstawią wspaniały hotel, ale wspaniały, prawdziwie zaczarowany pałac, zapełniony—licząc w to mamy, guwernantki i bony—zapełniony trzema tysiącami osób i osóbkę! Nie—świat takiego nie widział splendoru, jak te bębny i buziaki, postrojone—ale jak!!

Było ich tam, tych berbeciów, trzy czy cztery setki; obnoszone afiszki zachęcały, wzywały do zabawy, z zastrzeżeniem jednak, że ponieważ jest to bal wyjątkowo dziecienny, uprasza się więc tych, którzy mają *więcej niż lat 14*, aby nie tańczyli. To też trzeba było widzieć, te Francuziutka, odmalańka już pokazujące do czego są zdolne, gdzie do chodzi o zabawę z paradą; trzeba było widzieć, jak się każde z nich puszczalo w najdziwaczniejsze podrygi, aby prześcignąć sąsiada albo sąsiadkę. Były takie podrostki, co już swą rolę brały na serio!

Prawdziwem uwieńczeniem tej zabawy był sławny kotyliion, złożony i wykonany pod postacią eleganckich zaprzęgów. Piękne i świetne lejce włożono na ramiona i ręce chłopców; te lejce dziewczki trzymają w swych malutkich rączkach, trzaskając z biczyków, i hop! hop! zagrzewają głosem i ręką—i dalejże w takt po ogromnych salonach. Patrząc na to, myślałem w duszy: „Za lat dziesięć, ci chłopcy będą już mężczyznami, ludźmi siły i życia; a te dziewczki, te malutkie rączki, zmężnieją również—i lejce będą znowu na tych ramionach—lejce życia. I jak dziś będą ich poganiały te amazonki.”

Z balu maskowego, choćby balu dla dzieci, do pierwszego lepszego teatru niedaleka droga.... Zapraszam więc was z sobą do teatru, tak zwanego du „Gymnase”; zapraszam tembardziej, że sztuka, którą tam grają, jest podpisana nazwiskiem Wiktoryna Sardou—i że sama uchodzi za wzór skromności nieposzlakowanej.

Sardou podpisał rzeczywiście sztukę, ale jej prawdziwym autorem jest współnik jego p. Raymond Delandès. Wszechmocny Sardou przyłożył tylko pieczęć, a może sprostował jaki szczegół; ale w ogólności nie potrafił wycisnąć tego paznokcia, po którym zwykle poznaje się starego lwa.

Nowa sztuka ma za tytuł: *Świekra*, (Belle-Maman), przedmiot nie nowy, a w repertoarze francuzkim całkiem już zużyta. Jako nowość, jest wystawienie, zamiast aż nadto dobrze znanej świekry, starej, cierpkiej, sekutnicy—młodego, jeszcze bardzo miłego, przyjemnego stworzenia, które przecież, jak tamta, kończy prawie zwaśnięciem i zerwaniem małżeństwa swej córki.

Agata Noirel, wdowa po bogatym fabrykancie obić papierowych, wydaje swą córkę Zuzannę, za p. Thévenota, notaryusza; wyposaża ją sownie i przyrzeka sobie pozostać wdową do śmierci, aby nie zmniejszyć spadku ukochanej córki.

Według zwyczaju państwo młodzi zaraz po ślubie wybierają się w podróż do Włoch, a korzystając z nieładu, jaki sprowadza w domu ten wyjazd i wizyty poslubne, niejaki p. Boudinois, dawniejszy pierwszy subjekt papiernika, który ongi konkurrował o rękę Agaty, trochę zapóźno, dziś składa u nog ciepłej wdówki swe serce i rękę swoją.

— „Czekałem na wać panią lat dwadzieścia, czy przyjmiesz mnie dzisiaj? Nie jestem lovelašem, ani gołowąsym fireykiem, ale kocham wcpanią serdecznie. Spodziewam się milionowego spadku po starym stryju. Wymów słowo: i oto jestem u nog wcpani!”

Pani Noirel, chociaż wzruszona, opiera się pokusie. Wdówka po pracowitem życiu, chce użyć dzisiaj wolności i świata, bez przymusu trzpiotowatości; ale chce doznać trochę przyjemności życia eleganckiego, kobiety zamożnej i wolnej. Boudinois znowu więc wystąpił zapóźno....

Państwo młodzi podróżują zagranicą, a korzy-

stając z tego, Zuzanna stara się wybadać nalezycie swego notaryusza: jakie też miał grzechy kawalerskie. Świekra tymczasem przewraca dom cały do góry nogami: mebluje nanowo, z przepechem, stare gniazdo notaryatu i tak dokładnie się sprawa, że nietylko wszystką gotówkę wydaje, ale robi jeszcze kilkadziesiąt tysięcy franków długu.

Otóż pokazuje się, że jej córka, ma usposobienie ojca papiernika; rada przestaje na najskromniejszym życiu i z prawdziwym zadziwieniem ogląda te wytworne zmiany, wprowadzone przez matkę, z tak ogromnym kosztem. Thévenot również patrzy na wszystko z ukosa, gdyż on-to będzie musiał zapłacić zaciągnięte przez świekrę długi.

Nie koniec jeszcze na tych niespodziankach wytwornego smaku. Zięć się dowiadyje, że pani Noirel, będąc w Trouville, podczas niebytności młodych, poznała się z niejakim vice-hrabią de Bardac, ściągając na siebie ludzkie języki. Surowy notaryusz nie przypuszcza podobnych wybryków, żąda więc od owego Bardac'a załatwienia sprawy małżeństwem, a kiedy ten oświadcza niemożność, składając się tem, że jest już żonatym—w separacyi, co prawda, ale nierozwiedziony bynajmniej—Thévenot, w gorącej wodzie kąpany, żąda zadośuczynienia i wyzywa vice-hrabię na pojedynek.

Pojedynek odbywa się w Belgii, przy końcu II aktu. Noc tylko rozdziela ten akt od III i ostatniego. Zuzanna i jej matka, pomimo wszelkich starań notaryusza, dowiadują się, że tajemnicza jego wycieczka miała za powód pojedynek. A więc to sprawa miłosna! Szukają zatem kobiety—i znajdują ją w postaci niejakiej pani Roseonda, kiedy wreszcie nieszczęśliwy Thévenot, raniwszy vice-hrabię, wraca nakoniec do domu, znajduje w nim pustkę; świekra z jego żoną opuściły siedzibę małżeńską i przysyłają mu na powitanie pozew rozwodowy.

Rozżalony i wściekły, notaryusz zabiera się — pozwem odpowiedzieć na pozew. Ale nie dotrzymuje placu i, rozplakawszy się przy podpisie, prosi o zgodę. Naturalnie, przychodzi do zgody, zięć przebacza świekrze, ale z warunkiem, że wyjdzie za mąż za Boudinois, którego, właśnie wbrew nadziejom, stryj, umierając, wydziedziczył.

Taka jest treść tej moralnej sztuki. Zapewne, w porównaniu z *Margrabiną* jest ona moralną; ale też, jak widzicie mało w niej sensu i widocznie, że Sardou podpisał przez grzeczność, a bardziej przez dobre zrozumiany interes, bo podpis ten daje mu prawo do podziału prawa autorskiego, co na takiej scenie, jak Teatr Gymnazyum, nie jest wcale obojętną rzeczą... Zresztą, jak zwykle tutaj, doskonała gra ulubionych aktorów, piękne suknie i stroje aktorów podnoszą wrażenie choćby byle jakiej sztuki i pozwalają utrzymać się temu, coby gdzieindziej nędznie klapnęło.

Zresztą, aby dowieść, że ta wyjątkowa moralność nie jest zarazliwą, mamy zaraz w Palais-Royal przykład najświeższy. Dają tam w tej chwili komedią w 3-ach aktach, pod tytułem: *Moi przodkowie* (Mes aïeux). Autorowie, p.p. Clerville i Depré, nie pożałowali soli ni pieprzu... Francuzi za boki się biorą. Teatr pełniuteńki, że człowiek odychać ledwie może; aktorowie przechodzą wszelkie wymagania i publiczność zadowolona przyjmuje ich co wieczór grzmotami oklasków. No, i proszę powiedzieć, że w takich warunkach wasz korespondent nie śmie ani myśleć o analizie i sprawozdaniu! Któżby się mógł spodziewać, że pod takim tytułem, jak *Moi przodkowie*, Francuz wyprowadzi na scenę takiego rodzaju brzydactwo, iż, nawet uczeiwszy uszy, choćby niewiedzieć jak ostrzelanych Polaków, korespondent waha się nawet przyznać się do tego, że był na tej komedyi. Komedią to prawdziwa i narodowa. Już samo miejsce, gdzie się odbywa akcja, jest tego rodzaju, że nawet pod przenośnią, niepodobną go nazwać popolsku. Prawda, że trzeba być Paryżaninem, żeby to zrozumieć, co się wyraża pólśłówkiem. Bierz ich licho! Nie mówię tego przez pedanterię, ale pięknie używają tu swej wolności!

Ale muszę tu dodać, bo jest to nuta charakterystyczna—że pomimo brudactwa, sztuka ma

tyłe dowcipu, tyle miejscowych spostrzeżeń, iż człowiek musi się śmiać wraz z innymi i ze smakiem spożywać tę truciznę, którą oni tylko sami umieją przyprawić. Nie myślę, aby nasi spekulanci pióra tłómaczyli kiedy tę sztukę—niepodobną zresztą do wytłómaczenia na polskie: i to jest może największa zasługa autorów, którzy tym narkotykiem odurzają samych tylko krajowców. Żeby dać próbkę tych zabawnych wyskoków, przytoczę tu kilka słów rozmowy Amerykanina z Paryżaninem.

— Ty czem się zajmujesz?—pyta Yankesa Paryżanin.

— Ja—odpowiada tamten — mam w Ameryce dwadzieścia tysięcy koni.

— Cóż z nimi robisz?

— Robię z nich pekeflejsz, który Francuzom sprzedaje za baraninę!...

I tak bez końca, jakby fajerwerk jaki, na zawołanie i za każdym ukazaniem się nowej osobistości. Otóż widzę, że tak jest zarazliwa atmosfera, w której żyjemy, że się i ja rozgadał więcej, niż przystało, o tej brzydocie.

Uciekajmy chyba z Paryża i szukajmy słońca i światła, daleko od tej zapowietrzonej Babylonii. Właśnie tam daleko, ku Pyreneom, na ślicznych wybrzeżach Zatoki Gaskońskiej, w tym malowniczym Biarritz, głośnym z uprzywilejowanego pobytu ostatniego cesarza Francuzów, tam, w cieniu drzew pomarańczowych w kwiecie, w okolicy San Sebastian w Hiszpanii, odbyło się spotkanie sędziwej Wiktoryi, Królowej Angielskiej, z młodą regentką Hiszpanii. Wiecie już z dzienników, że Królowa Angielska obrała w tym roku Biarritz na miejsce swego jednomiesięcznego pobytu na stałym lądzie—dla zdrowia, a jak powiadają zeicha „dla wypełnienia swobodnie swoich obowiązków wiernej katolicki... Tak przynajmniej mówią ludzie uchodzący za dobrze powiadomionych w tej sprawie. Po śmierci ks. Alberta królowa przyjęła jakoby katolicyzm. Nieby w tem nie było dziwnego; tembardziej, że ks. Kent, matka królowej, była katoliczką. Jakkolwiek-bądź 31 Marca, po powrocie z wycieczki do Hiszpanii, królowa opuściła Biarritz.

D. 27 Marca, w dzień właśnie kiedy Regentka Hiszpańska tak wspaniale podejmowała w pałacu de Aÿette, w potopie najrzadszych, najwspanialszych kwiatów, siostrę swą po koronie, Królową Angielską—w tensam dzień w królestwie tej sędziwej pani w Rochdale zeszedł z tego świata w 78 roku życia jeden z najznakomitszych ludzi Potrójnego Królestwa John Bright...

Główny przedstawiciel i przewodca tak zwanej „Szkoły Manchesterskiej“, której głównym zadaniem było rozszerzenie wolności, nietylko handlowej ale i wszelkiej wolności, John Bright, ekonomista, polityk, fabrykant, wolno-wymiennik, niezmiernie położył zasługi, w dziedzinie ekonomii politycznej, którą rozumiał i traktował praktycznie i w polityce, w której agitował ze skutkiem na rzecz zasad demokratycznych, i w handlu, w którym utworzył nowe drogi, dla pomysłu i bogactwa ojezyny.

Był to typ prawdziwego Anglika, ze krwi i z kości. Powierzchność człowieka odpowiadała najzupełniej tej modle, jaką tworzymy sobie o Anglikach. Spokojny, trochę szorstki może, sprawił mi on niezbyt przyjemne wrażenie, kiedy w 1850 r. miałem zaszczyt być mu przedstawionym w Londynie. Z oczu, z ust, z twarzy i z całej postaci tego człowieka tryskała jakby myśl i przekonanie, że Anglik, jest to stworzenie wyższe nad inne—i przeznaczony do rządzenia światem.

Urodzony d. 16 Listopada 1811 r., miał wówczas lat 40. Silnie zbudowany, był jakby przeznaczony do walki i zapasów. Po ojcu zajął miejsce naczelnika sławnej przędzalni w Rochdale, w Księstwie Lankasterskiem. Od lat najmłodszych okazywał wielkie zdolności, i te jakby go przeznaczały do sławnej roli agitatora, w której już widzimy go do śmierci.

On-to z Ryszardem Cobdenem założył Stowarzyszenie wolnej wymiany (Free-Trade), które po świetnej kampanii parlamentowej otrzymało zniżenie cła na przywóz zboża.

Następnie Bright zwrócił całą swą działalność do zaprowadzenia wieczystego i powszechnego

pokoju. Niestety! była to szlachetna mrzonka—bo *homo homini lupus* pozostało nienaruszonym aforyzmem, jak było od początku świata. Obrona nawet tej szlachetnej myśli w 1853 r. była powodem, iż własni jego, wierni wyborcy odmówili mu swojego zaufania. Wówczas Bright zwrócił się w inną stronę i stanął do walki o rozszerzenie prawa wyborczego i uregulowanie kwestyi irlandzkiej.

Nakoniec w 1868 r. on, demokratą zagorzały, został ministrem w gabinecie Gladstone'a, pomimo niezmiernego krzyku oburzenia Torysów. Od owego czasu był jakby uprzywilejowanym kolegą *the Great Old Man'a*, jak nazywają Anglicy Gladstone'a. Bronił on zacięcie rozwiązania kwestyi irlandzkiej w sposób z dobrem Irlandyi zgodny, a było to wtedy, kiedy sam Gladstone za hasło swej działalności przyjął tę odwieczną prawdę, odwiecznie gwałconą, iż „siła i prędoc nie są bynajmniej środkiem leczniczym.“

Ale w 1886 r., kiedy Gladstone wystąpił ze swoją fatalną, bo niepraktyczną i tylko drażniącą, reformą irlandzką, Bright, rzuciwszy mu głośne swe oskarżenie o zdradę, spełnił rozbrat—zarzucił Gladstone'a listami i przemowami, które przyczyniły się stanowczo do ostatniego upadku ministerium „wielkiego starca.“ Przyjęty z otwartymi rękami przez stronnictwo konserwatywne, nie zagrzebał miejsca w jego przybytkach, opuścił nowych przyjaciół, a raczej sprzymierzeńców, i pogodził się ostatecznie z Liberalnymi.

Tak pogodzonego zastała śmierć, która przyszła po długich cierpieniach. Bright zajmie wielkie i poważne miejsce w historii swego narodu. Nigdy może żaden człowiek polityczny nie posiadał w tak wysokim stopniu przymiotów i wad prawdziwego Anglika.

Słyszę, że i u was gotują się powoli do przyszej Wystawy Paryzkiej. I dobrze robią, gotując się *powoli*, bo wątpię, z wielu bardzo ludźmi, aby ta wystawa mogła być otwartą, nietylko w pierwszej połowie, ale nawet i w drugiej przyszłego Maja. Jeżeli budynki są *prawie zakończone* z zewnątrz, oprócz budynku machin niema nic jeszcze gotowego wewnątrz. Calutki, ogromny grunt wystawy zawalony jest jeszcze materiałem resztek i gruzami: kamienia, drzewa i wapna. Kiedyż to wreszcie uprzątną, oczyszczą, wygracują i wysypią żwirem? Nie myślę, aby to za miesiąc czasu było skończone.

Jedno, co skończone—to sławna wieża p. Eiffel! Ale dlatego właśnie, że do niczego nie służy. W Niedzielę, dziś 31 Marca, włożono ostatnią śrubkę, wywieszono chorągiew i w chwili, kiedy to piszę, o wpół do 3-iej słyszę wystrzały armatnie. Dwudziestu strzałami—i jednym—powitano skończenie wieży i wywieszenie chorągwi.

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Państwo Uganda rozległe jest na 180.000 kilometrów kwadratowych ziemi niezmiernie żyznej i obfitującej we wszystkie plody bogatej natury tamtejszej. Żyje w nim blisko trzy miliony ludności, i Stanley przepowiada mu wielką przyszłość, gdy przy wejściu Europejczyków i Egipcjan traktem Sudanu, zetknie się ono z oświatą.

Stanley potrzebował przecież pomyśleć o powrocie do obozu zastawionego po drugiej stronie jeziora. Mtesa obiecał dać mu tyle łodzi, ile ich było potrzeba, aby cała karawana została przewieziona do kraju Uganda i zaraz wyznaczył jednego ze swych rekozdajnych urzędników, aby ten towarzysząc Stanleyowi w drodze powrotnej do obozu, sprawę tę załatwił, przyczem miała być nagromadzona i żywność, w którą Stanley potrzebował zaopatrzyć się na drogę. Ale kommissarz murzyńskiego władcy zdradził białego człowieka. Gdy *Lady Alicya* znów została spuszczoną na wo-

dy, przez parę dni ociągał się z rozpoczęciem swej misyi, następnie pozostał z łodzią swoją w tyle, a gdy głód zmusił zdradzonych, aby wysiedli na brzeg, ludność miejscowa postawiła się nieprzyjawnie i tylko wielką przytomność umysłu Stanleya, obleganego przez tłum Czarnych, pozwoliła odbić statkowi jego od brzegu. Musiał przecież puścić się na pełne wody jeziora, mając na pokładzie tylko cztery banany na dwunastu ludzi, którzy nie mieli nic w ustach przez całą dobę. Jeżeli wiatr będzie przychylnym, mogą się dostać po jednym dniu żegluga na wybrzeże, gdzie znajdował się obóz karawany, ale mogło się stać inaczej: mogli tułać się po jeziorze dni kilkanaście—miesiąc cały, aż do pory, w której ustają zawieruchy i burze, huczące na wodach jeziora Victoria Nyanza.

I tak się rzecz zapowiadała. Nad wieczorem zaryczał wiatr wschodni, zabałwanila się woda. Nie miano nawet wiosel do kierowania statkiem, zastępowano je łupanami cienko deskami i tak przebyto noc całą; ale poranek przyniósł zbawienie. Ukazała się w pobliżu wyspa, którą Stanley nazwał *Wyspą Schronienia*. Przybito do niej. Była pusta, ale obfitowała w banany; zapołowano też i ubito nieco zwierzyny, a gdy widmo głodowej śmierci zostało usunięte, puszczone się znów w drogę i trzeciego dnia, to jest d. 5 Maja, we dwadzieścia dni po opuszczeniu gościnnej ziemi kraju Uganda, ujrano te brzegi Kakhehy, gdzie ich oczekiwano.

Skoro tylko na wybrzeżu dostrzeżono statek Stanleya, w obozie jego zapanowała radość ogromna, zabrzmiały strzały salwowe, pięćdziesięciu Czarnych puściło się w pław ku szalupie, chciano go na rękach wynieść na ląd; ale wkrótce wesołość ta zamroczyła się nagle, gdy zapytał: co się działo w jego nieobecności? Dwa miesiące nie było go między nimi i niejedna żaloba nawiedziła ich przez ten czas. Barker umarł z febrji, której nabył polując na hipopotama; febra i dysenterya zabrały obok tego dużo ludzi; że zaś niewierny poseł afrykańskiego władcy nie ukazywał się dotąd, Stanley własnym kosztem i staraniem musiał zgromadzić łodzie, potrzebne do przewiezienia obozu na drugą stronę jeziora.

Ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci liczyła teraz karawana sto pięćdziesiąt; posiadała sto worków zboża, trzydzieści pak z przedmiotami spożywczymi, ale towarów, reprezentujących pieniądź, za który jedynie można było czynić zakupy, niewiele już było. Przytem przed wyruszeniem karawany z miejsca ludność okoliczna rzuciła się na obóz dla łupieztwa i była chwila, w której Stanley sądził, iż może być dla niego ostatnią, gdy niespodziewanie otrzymał posiłki. Ów niewierny wysłaniec Mtesy na werbunek łodzi, który uciekł od Stanleya, skłamał potem przed panem swoim, że biały człowiek został zamordowany i oddział wojska mający pomścić zgon jego uratował mu życie, zjawiając się niespodziewanie u okopów obozu obleżonego przez krajowców. Skoro tylko niebezpieczeństwo minęło, sprężysta natura Stanleya odzyskała siłę i wolę puszczenia się na nowe przygody. Zamierzył zwrócić się na zachód od Wiktorji Nyanzy, na poszukiwanie jeziora Muta Nzige i przekonanie się dowodne, zali jaka rzeka nie łączy się z jeziorem Albert-Nyanza? Gdyby tak było, jak to przypuszczano, komunikacją tę stanowiłaby Rzeka Czerwona, wtedy jedno ze źródeł Nilu, które Ptolemeusz oznaczył na mapie swojej pod nazwą: „Palus occidentalis Nili“ wypływałoby z jeziora Muta-Nziga. Zagadnienie bardzo ważne dla afrykańskiego ziemioznawstwa zostałoby rozstrzygniętem, podnosząc wielce zasługi Stanleya dla nauki; lecz na nieszczęście protektor jego, Mtesa, miał przed sobą wojnę z podległą mu na prawach daniny krainą Uwoma. Stanley, nie mogąc sobie radzić inaczej, ruszył wraz z czarną armią, liczącą sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierza, a w dodatku, pięćdziesiąt tysięcy kobiet i dzieci. Sam Mtesa miał ich, jako należących do monarszego domu blisko pięć tysięcy niewolnic: gotujących, niesących narzędzia, posługujących jego pięćdziesięciu żonom. Z tych ostatnich tylko dwadzieścia uważał Stanley za ładne i miłe dla wzroku, bo pleci nie czarnej, a tylko brunatnej, lecz o trzech z pomiędzy nich

pisze, że były „proste i wysokie jak palmy, a wdzięczne jak księżyc.“ Nie uchodziły one przecież za najpiękniejsze, ponieważ u Murzynów tusza stanowi głównie o urodzie kobiecej.

Z obozu Mtesy puścił się Stanley na poszukiwanie przedsięwzięte, przebywał krainę pustą, ponieważ mieszkańcy uciekli z niej, lękając się zetknięcia z wojskiem, dotarł nawet do jeziora, ale nie mógł czynić badań żadnych dla nieprzyjaznego usposobienia krajowców i powtórzoną zdradę danego mu do pomocy komornika Mtesy. Stanley pożegnał też tego wielkiego człowieka Afryki i cywilizatora jej, jakkolwiek chciał on teraz dać mu do pomocy z wyłączną władzą rozkazywania liczny oddział wojska; ale Stanley postanowił działać przy pomocy własnych tylko ludzi. Skierował się w stronę Nilu Alexandra, aby zbadać zkad wypływa? Przypuszczał uparcie, że z Wiktorji Nyanzy, a drugi władca afrykański, podobny z charakteru do Mtesy, król Rumanika, wspomagał go wielce w poszukiwaniach, których ważność, jeżeli nie naukową, to cywilizacyjną i praktyczną, do celów ułatwionej komunikacji zwróconą, pojmował. Zwołał też prawdziwą radę notablów swego państwa dla możliwych objaśnień Stanleya, ale przyniosło to zaledwie wskazówki niepewne i fantastycznie podawane. Rumanika przecież przedstawiał naturę wyższą: dobrotliwą i intelligentną; uczył się sam przewodnikiem Białego Człowieka; pokazywał mu rzeki, jeziora, gorące źródła, i wiadomości w ten sposób powzięte kazały Stanleyowi zmienić kierunek drogi. Od tej chwili też datuje i zmiana jego hipotez geograficznych. Już rok cały poświęcił poszukiwaniu południowych źródeł Nilu, które uparcie chciał widzieć wypływające z jeziora Wiktorja Nyanza, o którym on tylko i podróżnik Speke utrzymywali, że jest jedną, ogromną masą wody, gdy Livingstone i Burton widzieli pięć jezior, łączących się ze sobą pośrednio. Stanley odbył już przytem przeszło tysiące mil, odkrył nieznaną dotąd nikomu zatokę jeziora Muta Nzige, ale zaburzenia wojenne, utrudniające drogę, uniemożliwiały posuwanie się w obrany kierunek. Puścił się ku Tanganyka i ta zmiana drogi pozwoliła mu odnieść wielkie zwycięstwo: odkryć bieg rzeki Kongo.

W drodze ku jezioru spotkał się z Mirambą. Ten afrykański samowładca odbywał swój dziki pochód w głąb kraju, którego celem były razy dla zdobywania niewolników i kości słoniowej. Stanley dał mu znać o sobie, gdzie przebywa. Sądził, że ujrzy dzikiego despote, a zobaczył spokojnego, powierzchownie łagodnego Murzyna, który zawarł z nim, koniecznie żądane braterstwo krwi, to jest jeden i drugi kazał się ukłóc w prawą nogę długą iglicą z ości rybiej i wzajemnie krew jednego, została wpuszczona w ranę drugiego z uroczystym zaklęciem, że będą sobie braćmi. Zmiennik był oddawany przez kłutwę mistrza tej ceremonii na pożarcie lwom, na zatrucie jadem węzów, opuszczenie od ludzi i Wielkiego Ducha, to jest Boga. Rozstano się przyjaciółmi; Mirambo zaprzysiągł zarazem przymierze ze wszystkimi Białymi Ludźmi, którego przecież nie dotrzymał, bo w parę lat potem ścigał zbójcecko karawany europejskie i w kraju Pinbue zamordował okrutnie dwóch podróżników: Carter'a i Cadenhead'a.

Stanley przebywał teraz znaną mu już krainę Udżidzi, której naturę i krajobrazy opisuje jak poeta. Niezmiernie zamilowanie jego w pięknościach przyrody daje jego dziennikowi karty pełne malowniczości, i można przypuścić, że poniekąd wspiera to w nim podróżnika. Ciekawość tajemnic nieznannej natury, miłosne podpatrywanie jej pociągało go w strony, przysłonięte dla Europejczyka tajemnicą, a gdzie pierwotna, potężna roślinność przedstawia oczom obrazy nieporównane.

Badania jeziora Tanganyka polegało głównie na tem: czy ma ono odpływ nazewnątrż? wzbieranie jego i wylewy, często bardzo znaczne, kazały Stanleyowi odpowiedzieć: Nie! Występowało ono nieraz z brzegów i rozlewając się około zajmowało coraz większe przestrzenie. Przytem podanie miejscowe wywodzi jego początek od cudownego źródła, które, otworzywszy

się nagle, rozlało wody swe szeroko, zalewając grunta, które stanowią dziś dno jeziora, a Stanley wierzy w takie jego powstanie i dopływ wód podziemnych, który sprawia, że jezioro, nie mające żadnego ujścia wody biejącej na powierzchni ziemi, rozszerzało się coraz i rozszerza dotąd, rozciąga niejako w morze śródziemne. Jedną z najważniejszych prac Stanleya, jako geografą, stanowi opłynięcie jego brzegów: cierpliwe, uważne, odbywane systematycznie i zagłębiające się w każdą zatokę, w każdą odnogę wód jego, w każdy zakręt brzegów. Cameron, który pierwszy dokonał takiej samej pracy, twierdzi przecież, że odpływ jest, ale też podziemny i rzeka Lukuga z niego powstaje.

Odpowiedzi stanowczej, przysadzającej rację jednej ze stron spornych, niema dotąd. Potrzeba na to dłuższych jeszcze poświęceń i prac wśród tych niebezpiecznych dla Europejczyka krain, które stanowią tytuł do chwały, nietylko jednostek, ale Ludzkości, bo są objawianiem się szlachetnego postępu człowieka do szukania prawdy—są pracą bez samolubnego celu, gdyż niezawsze nawet oplacają się choćby tym rozgłosem, jaki otrzymał Stanley. Po wszystkie czasy i wieki byli tacy ludzie pragnący rozszerzyć zakres wiedzy człowieka i wydzierający się na poszukiwanie rzeczy nieznanych, od Pitagoreasa i alchemików średniowiecznych szukających kamienia filozoficznego, do dzisiejszych podróżników, palonych podzwrotnikiem słońcem Afryki, zawsze człowiek będzie tęsknił i wyciągał ręce do czegoś nieznanego, co jest poza nim. Do starej formuły, że różnimy się od zwierząt rozumem i mową, należałoby dodać: — i tęsknotą do niewidzialnych a przeczuwanych rzeczy...

(Dalszy ciąg nastąpi).

HYGIENA I MEDYCYNĄ POPULARNA.

SZERZENIE SIĘ CHOROBY ZARAŻLIWYCH.

OGRÓD SASKI.

Mamy tedy wiosnę, nietylko w kalendarzu ale i na świecie, i w jego drobnej cząstce zwanej Saskim Ogrodem. Ten saski ogród—ocalony przed nieograniczonym apetytem p. Lindley'a, zazieleni się niedługo: ziemia pokryje się delikatną trawką a drzewa listkami, powietrze przepelni się wonią bzów i śpiewem ptactwa, labędzie szybować będą po szklistej powierzchni stawu, a emeryt i dziecko podążą napawać wzrok i wzmacniać już zużyte lub nierozwinięte jeszcze płuca ożywym balsamem ozonu.

Dla mieszkańca wielkich miast rozłożysty i cieniasty ogród w bliskości jest temsamem, co oaza dla podróżnika na pustyni.

Pomimo troskliwości, zachowywanej przy utrzymaniu ogrodu, bywa on jednakże bardzo często rozsładnikiem chorób zaraźliwych, a to z powodów nad którymi właśnie w niniejszej pogawędce bliżej się zastanowimy.

Matka, wysyłając swe dziecko do ogrodu, czyni to w podwójnym celu: raz, aby się pokrzepiło świeżym powietrzem i użyło ruchu, a powtóre, aby znalazło między podobnymi do siebie „milusińskimi“ towarzystwem odpowiednie i mogło się „bawić“.

Nad tem, aby powietrze uczynić, oile możności, jaknajczystsze, pomyślała, zwierzchność ogrodu, a to zwirując ulice i polewając je peryodycznie wodą; co do innych względów higienicznych to te pozostają najzupełniej w rękach matek. I tak: dziecko wysłane na spacer powinno być

odpowiednio ubrane; członki nie powinny być skrepowane, tak, aby dziecko, biegając, skacząc, rzucając piłkę, mogło niemi swobodnie poruszać: dlatego odzienie musi być przestronne. Dalej skóra prócz twarzy powinna być całkowicie pokryta, dekoltowane sukienki, krótkie rękawy i pończoszki przyczyniają się do zaziębienia, gdyż niepodobna uniknąć aby dziecko nie spocilo się, a wówczas gdy skóra jest obnażona, najłżejszy wiatr, osuszając raptownie pot, sprowadza groźne zaziębienia, nawet w czasie najpiękniejszej i najcieplejszej pogody; a potem, doprawdy, żal patrzeć na maleństwo pogryzione przez komary i inne owady.

Daleko jednakże większym złem jest udzielanie się chorób zaraźliwych, które przenoszą się z jednego — zdrowego, na drugie — chore, dziecko. Jest to jednakże złe, któremu w bardzo wielu wypadkach zapobiedz można.

Wszystkie prawie choroby zaraźliwe, zanim wybuchną w całej grozie, mają tak zwany okres utajenia się, który objawia się pewnym niedomaganiem, a którego najgłośniejszymi objawami są: ból głowy, utrata apetytu, bezsenność, ból gardła i kaszel. Po ukończeniu się zaś, w okresie zdrowienia, pomimo, że wszystkie objawy choroby minęły, ta jeszcze przez pewien czas może się udzielać dzieciom zdrowym, przeważnie zaś takim, które choroby identycznej nie przechodziły.

Według dzisiejszego stanu nauki większa część chorób może się udzielać, przeważnie jednakże z wielką łatwością zarażają się dzieci tak zwane choroby wysypkowe (odra, szkarlatyna, ospa), błonica (*diphtheritis*), kokluszem i zapaleniem gruczołów przyusznych (*mumps*).

W samych początkach rozpoznanie tych chorób przedstawia często nawet dla lekarza wielkie trudności: i dlatego to, jeżeli tylko pojawiło się niedomaganie, jeżeli tylko mamy podejrzenie, że rozwinąć się może jedna z powyższych chorób, wypada dziecka stanowczo do ogrodu nie posyłać. Gdy lekarz zaleca jeszcze przechadzki na świeżym powietrzu, należy je odbywać w miejscu takim, aby się mały pacjent z innymi dziećmi nie komunikował, aby im choroby nie udzielił. Każda z matek powinna to uważać za święty obowiązek: w przeciwnym razie bowiem popelni czyn lekomyślny, a nawet wręcz: niesumienny.

Jeszcze skrupulatniejszą w tym względzie wypada zachować ostrożność, gdy dziecko przebyło chorobę zaraźliwą, albo gdy ulega jeszcze takiej, z którą wychodzić może, jak np. koklusz; wtedy bowiem zarażenie się od niego jest nieuniknionem. Z tego względu dziecko, zanim wejdzie w towarzystwo innych dzieci, powinno być poddanem *kwartannie*, a jego pościel, odzienie i bielizna ściśle *dezynfekcji*.

Co do *kwartantanny*, to ta jest dla każdej choroby odmienną. I tak: po zupełnym ustaniu objawów patologicznych należy dzieci odosabniać jeszcze: 1) po zapaleniu gruczołu przyusznego przez dni 24; 2) po koklusz 21; 3) po ospie, zarówno naturalnej jak wietrznej, 18; 4) po szkarlatynie 24; 5) po odrze 16, po błonicy 14. Są to liczby minimalne. Kwartantanna nietylko zapobiega szerzeniu się powyższych chorób, lecz wymagalną jest w interesie zdrowia samego dziecka, które po przebytym cierpieniu z łatwością ulega recydywom i jest bardzo wrażliwe na wszelkiego rodzaju wpływy szkodliwe.

Dezynfekcją skuteczną należy przedewszystkiem na samym dziecku, a następnie, jak powiedzieliśmy, na pościeli, odzieniu i bielinie.

Najwłaściwszą dezynfekcją samego dziecka są kąpiele, które stosować należy jaknajczęściej, z dodatkiem do wody mydła i 1/2 funta sody, które zmywają pozostały na ciele naskórek a wraz z nim mogące na skórze żyć bakterie. Prócz tego po przebyciu błonicy zaleca się przez czas dłuższy płukania z kwasu bornego lub salicylowego (łyżeczkę od kawy na szklanke wody); stwierdzono bowiem, że zarazek tej choroby gnieździć się może przez czas bardzo długi w jamie ustnej, a zwłaszcza w spróchniałych zębach. Płukania podobne skutecznie należy po parę razy dziennie, a przynajmniej po każdym jedzeniu.

Odzież i bielizna przenoszą najczęściej zarazę z chorych na zdrowych. Dlatego z chwilą gdy

zdyagnozowana została choroba zaraźliwa, należy odzież dziecka natychmiast wietrzyć i poddać dezynfekcji, najlepiej w odpowiednich kamerach dezynfekcyjnych; bielizna zaś powinna być oddzielnie prana z dodatkiem do wody kwasu karbolenego. Poniesiony koszt i zachód oplacają się zawsze bezwarunkowo. Przepisy sanitarne w tym względzie ściśle są dziś wszędzie przestrzegane, gdzie się naraz zbiera większa ilość dzieci, jak np. w szkołach. Dziecko przed przebyciem kwartantanny i właściwej dezynfekcji nie zostaje wpuszczone do szkoły, a co stwierdzić może i stwierdza lekarz.

Podobna kontrola dla dzieci udających się na spacer jest niemożliwą. W tych razach wszystko polega na dobrej woli i poczuciu obowiązku do przyczynienia się ku zdrowiu ogółu; a jest to jeden z najświętszych obowiązków, którego, w myśl zasady: „Nie czyn drugiemu co tobie nie miło“ chyba dwa razy powtarzać nie potrzeba.

Dziecko tedy, przy najpierwszej niedyspozycji i po przebyciu choroby nie powinno być posyłanem do miejsc publicznych, a jeżeli się w takim miejscu znajdzie obowiązkiem jest matki przestrzegać, aby bawiło na ustroniu, nie zaś w towarzystwie zdrowych, którym może choroby udzielić.

Znam matki, które nie posyłają swych dzieci do Ogrodu Saskiego dlatego, że mogą przynieść chorobę. Jest to z jednej strony postępek racjonalny; lecz dziecko pozbawia się w ten sposób dobrego powietrza i towarzystwa, które bardzo korzystnie wpływają na jego rozwój fizyczny i umysłowy.

Gdyby wszyscy zechcieli przyłożyć cegielkę do budowy, która nazywa się *zdrowiem ogółu*, gdyby każda matka miała pewność, że jej dziecko nie spotka się w ogrodzie z dzieckiem chorem, — podobne ostrożności byłyby najzupełniej zbytecznymi i możnaby „milusińskich“ wówczas z całym spokojem wysyłać do „letniego salonu“, w którym im tak dobrze i którego prawdziwą ozdobę stanowią.

Ze smutkiem wyznać potrzeba, że u nas poczucie to jeszcze jest w zawiązku. Po największej części mówimy sobie: „Jak ma dostać choroby, to i tak dostanie.“ Jest to przesąd. Dziś nauka dowodnie wykazała, że choroby zaraźliwe zależne są od swoistej zarazki, którego, przy zachowaniu przepisów higienicznych, a przedewszystkiem, unikając zaziębienia i zaburzeń w przewodzie pokarmowym i styczności z osobami zarażonymi jakoteż ich odzieniem—mogą być niedopuszczone do organizmu zdrowego. Nigdzie może, jak tutaj, nie da się tak zastosoować przysłowie: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże.“ Poczucie ustrzeżenia swego dziecka jest instynktownem, miłość rodzicielska robi wszelkie możliwe wysiłki w tym kierunku. Trzeba jeszcze wszczepić poczucie chronienia i obcych dzieci, równie miłych swych rodzicom; a wysyłając chore dziecko między zdrowe, wystawiamy je bezwarunkowo na zarażenie się. Rodzicom sprawiamy ból, którego z niczem porównać nie można, a którego sami się wystrzegamy, jak ognia.

Kontrola lekarska w tym względzie jest niemożliwą; lecz możliwą najzupełniej jest rzeczą, aby matka, bona czy nianka, gdy dziecko jest cierpiącym, lub w czasie powyższej wymienionej kwartantanny, spędzała czas na uboczu zdala od dzieci zdrowych, aby nie pozwalała na wspólną z niemi zabawę, całowanie się i t. p. Jest to czyn rozsądny i uczciwość, które wszystkich zarówno zobowiązują, i częste napominane w tym względzie uważać-by można za rzecz nawet zbyteczną.

Zarażenie się dziecka chorobą wskutek lekomyślności nadzorczyń, nietylko nabawia rodziców niepokojem chwilowego, a samo dziecko naraża na cierpienia, lecz może stać się przyczyną choroby na całe życie lub nawet śmierci.

Z takimi rzeczami igrać—nie godzi się.

Dr. J. Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Pożyteczna myśl założenia w mieście naszym szkoły sług już budzi w publiczności zajęcie i to uczucie przychylne, na jakie zasługuje przedsięwzięcie doniosłej dobroczynności; bo największym darem, jaki można dać temu, który zarobku potrzebuje, jest uzdolnić go dobrze do pracy. Właścicielka kamienicy, p. I. G., zwróciła się do Warsz. Towarzystwa Dobroczynności w pocziwym zamiarze ofiarowania posiadłości swojej na ten zakład.

— Dr. Julia Klauzińska otrzymała posadę lekarza przy IV-tym gimnazjum żeńskim w Warszawie.

— Pani Aniela Drużewska, wyuczywszy się w Wiedniu pozłotnictwa i wyrobu ram, zamierza otworzyć w Warszawie fabrykę ram.

— Procent od 15,000 rs., zapisanych przez zmarłego adwoka Chodorowskiego Warsz. Towarzystwu Dobroczynności przeznaczony jest przez ostatnią wolę testatora na wsparcie niezamożnych dziewcząt, wyznania rzymsko katolickiego, wychodzących za mąż. Kuratorką zapisu, stanowiącą o tem, komu wsparcie ma być przyznaniem, mianowana jest p. Helena z Boguskich Rogozińska, pisząca pod pseudonimem Hajoty.

— Czasopismo *Medycyna* zamieściło projekt kassy wzajemnego zabezpieczenia kapitału pośmiertnego dla wdów i sierot po lekarzach. Instytucya ta byłaby dobroczynnym rozszerzeniem działania kassy wsparć, istniejącej przy Warszawskim Towarzystwie Lekarskim.

— Drzeworyt zamieszczony w ostatnim numerze „Tyg. Ilustrowanego“ na karcie naczelnej, jest odwzorowaniem z rzeźby p. Władysława Gostyńskiej, a przedstawia popiersie Bohuna, postaci wziętej z powieści Sienkiewicza: „Ogniem i Mieczem.“ Młoda rzeźbiarka pochodzi z Galicji Zachodniej, z rodziny przecież, która przesiedliła się tam z Królestwa. Pierwsze studia odbywała we lwowskiej „Szkołe przemysłu artystycznego“ pod kierunkiem prof. Wiśniowieckiego, następnie była uczennicą rzeźbiarza Lewandowskiego. Do bardziej znanych jej utworów należy portret w brzoźnie posła Madejskiego, „Głowa Starca“ i „Mnich“.

— W Krakowie podniosły się głosy protestujące przeciwko kwestowaniu pań tamtejszych na rzecz kassy kardynała Lavigérie w sprawie powstrzymania niewolnictwa Murzynów i handlu nimi, prowadzonego przez osiadłych w Afryce Arabów. Powtórzył to w *Czasie* prof. Kleczyński, wykazując, że jakkolwiek cel jest szlachetny i godzien uznania, ale społeczeństwo ubogie, mające wiele nędzy i doniosłych potrzeb domowych, domagających się zaspokojenia, nie powinno odwracać grosza publicznego od celu obowiązującego najpilniej i najsilniej. I jest tak niewątpliwie. Trzeba, aby miłosierdzie nasze, nasze uczucie ludzkości, zaczynało zawsze działać przez niesienie ulgi nędzom najbliższym, przez zaspokojenie potrzeb najbliższych. Zaczynać od najbliższego jest metodą najpewniejszą spełnienia obowiązku. Kiedy kardynał Lavigérie kazał w Neapolu w kaplicy „Figlie di carità“, gdy opisywał nędzę i hańbę nieszczęśliwych kobiet murzyńskich, które skute łańcuchami i przytwierdzone do obroży, pędzone są na rynek sprzedaży, jak bydło i ro-

cznie sprzedaje się ich więcej niż 200.000, posypały się tam kupy złota, zwłaszcza z rąk bogatych Anglików. Cóż więc znaczy nasz denar ubogi, za który jednak dać można chleb, naprzykład głodnym dzieciom Galicji Wschodniej?

— Stowarzyszenie Pracy Kobiet we Lwowie odbyło walne zgromadzenie w d. 10 Kwietnia. Sprawozdanie za rok ubiegły przedstawiło następujące liczby. Do szkoły szycia i białego haftu uczęszczało tam 176 uczennic (36 bezpłatnie) do szkoły robót wytwornych 23, do szkoły „powtórzenia“ 82—razem było uczennic 281. Rozchód wynosił 2685 zł. reńskich; pozostało w kassie szkoły remanentu 427 zł. reń. Uchwalono założenie szwalni dla uczennic szkoły, kończących naukę, a niemających natychmiastowego zajęcia; obok tego postanowiono zająć się utworzeniem bazaru wyrobów krajowych, co przyczyniłoby się do rozwoju przemysłu krajowego, dając zajęcie osobom pracy potrzebującym.

— Zmarła w Rzymie w początkach bieżącego roku Karolina z Maciejowskich Cortazzi, obok znacznych legatów na rzecz rodziny Maciejowskich i Rudnickich, zapisała 300,000 lirów na cele dobroczynne i naukowe. Z tych przeznaczyła 20,000 lir. na pomnik dla Szopena, 50,000 lirów na stałe utrzymanie w Centralnym Szpitalu w Rzymie dwóch łóżek dla chorych Polaków. Reszta ma być obrócona na stypendya i cele naukowe także dla Polaków. Są też znaczne zapisy dobroczynne dla Społeczeństwa Włoskiego.

— W czasie wystawy paryzkiej odbywać się będzie w Paryżu kongres pedagogiczny. Rozpoczęty d. 23 Sierpnia trwać on będzie tydzień cały. Prace mające służyć za przedmiot prowadzonych tam rozpraw powinny być przysyłane na ręce francuzkiego ministra Oświecenia w Paryżu po dzień 13 Czerwca, jak władze francuzkie zawiadomiły Warszaw. Okrąg Naukowy. Kobiety są tu przypuszczone na tychsamy, co mężczyźni, prawach. Pomiędzy kwestyami postawionymi na wykazie rozpraw kongresu jest teza: O działalności kobiety, jako nauczycielki domowej, dozorczyńi młodzieży i przełożonej.

— Tradycya uniwersytetu bolońskiego co do wykładów kobiecych odżyła przez powierzenie katedry bakteriologii młodej panie, Józefie Cattani. Urodzona w 1859 r. w Pawii, odbywała ona studia na uniwersytecie bolońskim, gdzie też doktoryzowała się, i gdzie w 1884 r. została asystentką przy instytucie patologicznym. W celu dalszych studiów odbyła podróż po Europie, zwiedzając wybitniejsze wszechnice i zapoznając się z traktowaniem przedmiotu swego przez uczonych europejskich. Przebywała w tym celu najdłużej w Paryżu.

— Angielskie stowarzyszenie geologiczne odmówiło kobietom przystępu na zasadzie, że nauka traktowana jest często przez kobiety powierzchownie, co zniża poziom i powagę studiów. Odmowa nastąpiła przez 33 głosów przeciw 29.

— Na międzynarodowym kongresie kobiet, o którym czytelniczki nasze miały już podaną sobie wiadomość, prezydentką sekcji angielskiej mieć będzie obok miss Greatorex Elżbieta Blackwell, pierwszy nowożytny doktor medycyny płci niewieściej. M-me Popelin, Belgijka, posiadająca doktorat prawa, a której obrończe ciało belgijskie nie chciało dopuścić do adwokatury, przedstawiać będzie Belgia. Czynną prezydentką kongresu będzie M-me Deraismes, honorową obrano, obok Leona Richer, uczoną astronomkę Klementynę Royer. Mężczyźni będą mieli udział w kongresie i oprócz wymienionego wyżej człon-

kami jego będą: Anatol de la Forge i Juliusz Guyot.

Angielska pisarka, zajmująca się stroną moralności obyczajów w wychowaniu dzieci, wydała książkę o nieszczęśliwie psujących wpływach, którym ulegają dzieci, zajęte w teatrach, zwłaszcza tworzące chóry w baletach. Książka ta składa się z seryi listów pisywanych do pism peryodycznych. Są tam dwa listy wykazujące wpływ teatru na rozwój moralnych pojęć dziecka: demoralizujący, jeżeli rodzice prowadzą je na sztuki treści niemoralnej, i naodwrot. Nawet wtedy kiedy dziecko nie może rozumieć całego znaczenia rzeczy, wbija się ona w jego pamięć przez wrażenie, jakie wywiera na młodą wyobraźnię sztuka aktorska, i jest to zły zapas dla przyszłości. Drugostronnie M-rs Fawcett radzi rodzicom, aby używali przedstawień teatralnych jako silnego bodźca dla rozniesienia w dziecku zapału dla dobra i piękna moralnego. Sztuka gdzie bohater, zwłaszcza historyczny, spełnia wielki czyn szlachetnego poświęcenia, jak naprzykład w „Wilhelmie Telu“, oddziaływa mocno przez wzruszenie, jakie sprawia, i roznieca iskry uczuć bohaterkich, dążeń wyższych nad samolubne zajęcie się sobą poniesionych.

— Angielskie pismo poświęcone społecznym i przemysłowym kwestyom kobiecym: *English Woman's Review* podaje w miesiącu marcu wiadomość o szkole robót kobiecych p. Haliny Tokarzewskiej w Warszawie (ulica Szkolna). Szczególniej bardzo pięknie hafty wypukłe, malowanie na jedwabiu, szkłe i porcelanie, oraz wyroby sposobem zwanym „barbotina“, są w angielskim piśmie bardzo chwalone — i słusznie. O szkole robót kobiecych p. Tokarzewskiej wspominało pismo nasze kilkakrotnie, ale zasługuje ona na obszerniejszy opis, który też wkrótce „Bluszcz“ poda czytelnikom.

Nowe książki.

Ciesielski T. d-r. Bartnictwo, czyli hodowla pszczół dla zysku, oparta na nauce i wielostronnem doświadczeniu. I. Przyroda pszczół. Lwów, 1888. rs. 2 kop. 50.

Gould Joanna. Gwiazda przewodnia, powieść dla dorastającej młodzieży, tłómaczyła z angielskiego Zofia Hartingh. Warszawa, 1889 r. rs. 1 kop. 20, w oprawie w tekturkę rs. 1 k. 35.

Gry i zabawy dla młodzieży wraz z opisem kar, odbywanych za fanty, wydanie drugie. Warszawa, 1889 r. w oprawie w tekturkę rs. 1—w płótno angielskie rs. 1 k. 20.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona.

TREŚĆ: Marya Julia Zaleska, przez M. Ilnicką. — Raptularz Jana Czczota. Szkic literacki Józefa H. Rychtera. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Nowiny paryzkie. — Jan Rowland Stanley. — Kronika działalności kobiecej. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Извѣщено Пензурою. — Варшава, 12 Апрелья 1889 года.